

Ryszarda Bilana dole i niedole

Napisano dnia: 2014-07-22 08:21:13

PARYŻ, JEROZOLIMA, KŁODZKO. W muzealnym gabinecie siedzi przede mną niepozorny człowiek. Wcześniej przedstawiono mi go jako uznanego, światowego artystę, którego przez te jego blisko siedemdziesiąt lat życia los wcale nie oszczędził. Co ciekawe, jako czteroletniego chłopca rozkręcał się w Kłodzku, do którego ponownie go przywiódł...



Urodził się w Krakowie, gdzie mieszkał zaledwie kilka miesięcy. W królewskim mieście okupację spędzili jego rodzice, będąc na fali wielkiej emigracji z Kresów Wschodnich. Po zakończeniu II wojny światowej zdecydowali się migrować dalej, na zachód, i tak osiedli w mieście nad Nysą. Dostali mieszkanie na ul. Korfantego.

WSPOMNIENIA Z DZIECIŃSTWA

- Niestety, moja mama w jakiś czas później trafiła do szpitala psychiatrycznego. Nie wytrzymała napięcia wynikłego z niedawnej wojny, tego ciągłego strachu i stresu. Zostałem z ojcem, mając zaledwie cztery lata - wspomina swoje kłodzkie początki Ryszard Bilan, malarz, grafik i rzeźbiarz, dziś mieszkający i tworzący w Paryżu. - Kiedy przeprowadziliśmy się na ulicę Wolności, zaczęły się moje szczęśliwe i nieszczęśliwe lata. Szczęśliwe, bo tato był wziętym mistrzem tapicerstwa, miał najbardziej prominentną klientelę z miasta i okolic. Miał też sporo pieniędzy. Dostawałem więc kieszonkowe, z którego sam na swój sposób się utrzymywałem. A nieszczęśliwe dlatego, że majątności ojca towarzyszył alkohol i libacje, do tego dużo palił papierosów i nie dbał o higienę. Z czasem skutkowało to zachorowaniem na gruźlicę.

Głównie ta druga sytuacja spowodowała, że Rysiek od najmłodszych lat musiał być jak najbardziej samodzielny. Można rzec, że wychowywał się na ulicy. Chodził wszędzie, gdzie się dało, gdzie tylko nogi go zaniosły. Do szkoły też chodził, owszem, jednak wtedy, kiedy na to miał ochotę. Działo się tak również wtedy, gdy zajmowała się nim pracownica od ojca, która z czasem została jego żoną a chłopca macochą. Niestety, postęp choroby spowodował, że wyjechała razem ze swoją córką, co skutkowało tym, że Ryśkiem zajmowali się różni ludzie, jak ojciec przebywał w szpitalu. A działo się to coraz częściej...

SMAK WOLNOŚCI

- Zakład taty mieścił się na ulicy Łukasińskiego. Często tam przebywałem, wysiadując na progu. Naprzeciw mieszkali Cyganie. Ich dzieciom pokazywałem język, one się odwzajemniały, aby później z nimi się zaprzyjaźnić. Handlowałem z nimi fenigami, guzikami od mundurów żołnierzy Wehrmachtu, ale najbardziej zegarami, za które dostawałem najwięcej pieniędzy. Dzięki temu jeszcze lepiej funkcjonowałem, bo do kina mogłem chodzić prawie codziennie. A do szkoły chodziłem w kratkę, dlatego byłem najgorszym uczniem - podkreśla rozmówca.

Jak na lata pięćdziesiąte XX w. i zarazem chłopięce, Rysiek był bogaty i równocześnie biedny - bywało, że chodził głodny i wtedy piekł ziemniaki na... kuchence gazowej. Jego stałą, w tamtym czasie, przygodą było to, że wyprawiał się na gapę pociągami w Polskę. Działo się tak zazwyczaj wówczas, gdy uciekał przed mantem od ojca. Rodzic, jak nieco w siebie wlał, zabierał się za sprawdzanie postępów w nauce syna. A że rękę miał ciężką...

- Wtedy docierałem na dworzec główny PKP, wsiedałem do wagonu i chowałem we wnęce nad przedziałem. Mieściłem się, bo byłem mały, niepozorny. Szybko zasypiałem. Zazwyczaj budzili mnie

sokiści. To dzięki nim bywałem w wielu miejscach. Szczególnie, kiedy nie chciałem powiedzieć, skąd jestem. Zdarzało się, że dostałem pałą po tyłku, ale częściej kromkę chleba i transport gazikiem do domu – mówi R. Bilan.

Z tamtego okresu p. Ryszard wspomina jeszcze swoją znajomość z Żydem Samuelem. Poznał go chyba na targowisku. Mężczyzna zajmował się rozwożeniem węgla i ziemniaków. Czasami wpadali na siebie. Bywało, że nocował u niego w domu na Czeskiej, ale coraz rzadziej, bo dość miał spania pod jakąś derką czy między kartoflami i widoku wstawionego „kolegi”, którego niekiedy konie same odwoziły z miejsca popijawy.

UKRYTY TALENT

To, że siedzi w nim uzdolnienie plastyczne, wyszło podczas pobytu w sanatorium dziecięcym pod Krakowem. Trafił tam po tym, gdy lekarz stwierdził, że ma wadę wzroku. Rozłąkę z domem przeżył mocno, bo w ogóle była pierwszą. Tak jak po raz pierwszy dla higieny głowę ogolono mu na pałę, choć gryzł, bił i kopał czterech trzymających go wychowawców. Wepchnięty po tym fakcie do świetlicy złapał za kredki i zaczął malować swoich niedawnych „oprawców”.

- Dotarło do mnie, że jest to przecież jakaś forma wyrazu, z którą sobie nawet dobrze radzę. Te uzdolnienia manualne rozwijałem w zakładzie ojca, gdzie dostawałem gwoździe i młotek, wbijając je artystycznie, oraz poznawałem nowe węzły – zauważa eksklodzczanin.

Na jego artystycznej duszy bardziej poznała się jedna z wychowawczyń domu dziecka, do którego trafił jako czternastolatek. Stało się to po tym, gdy został sierotą. Ta kobieta przymusiła go do nauki pisania i czytania, doszło do tego, że poznał zawartość całej biblioteki: od książek Karola Maya po wszystkie baśnie. Dzięki temu mógł puszczać wodze fantazji, jak wtedy, kiedy mieszkał na ul. Czeskiej. Tam z okna domu po drzewie wspinał się do swojej „komnaty” w twierdzy, gdzie gromadził dziecięce skarby, a z której miał wspaniałe widoki na ratusz i okolice. Jego wieżę kojarzył z kościołem mariackim w Krakowie i dlatego ciągle wypatrywał na niej trębacza...

Rysiek, mimo namowy dyrektora domu dziecka, nie zdecydował się na naukę w ogólniaku ani w technikum. Poszedł do szkoły zdobienia szkła w Szczytnej, choć nie wiedział, co to jest kryształ czy kto to jest szlifierz. Po prostu szybko chciał być samodzielny i mieć pieniądze. Jako absolwent szlifował kamienie szlachetne w kłodzkiej „Cepelii”. Nie wytrzymał w niej długo.



WOJOWNIK MIMO WOLI

- W szczytniańskiej hucie najpierw byłem tzw. noszaczem, czyli faktycznie nikim. Później trafiłem do warsztatu, zaś w finale zostałem szlifierzem szkła. To dzięki majstrom, którzy dopingowali mnie do dalszej nauki. Oni mieli więcej punktów do premii, ja większą wiedzę i umiejętności. Ukończyłem technikum przemysłu szklarskiego – przywołuje swoje awanse R. Bilan. – I oto nagle, nie wiem dlaczego – a był rok 1968 – powstała wojenna zawierucha na Bliskim Wschodzie. U mnie zaczęto się doszukiwać żydowskich korzeni, aczkolwiek z żydostwem niewiele miałem wspólnego. Wychowywałem się przecież na ulicy i w świeckim domu, moi rodzice byli ludźmi zasymilowanymi. W Stanisławowie, skąd pochodzili, rozmawiali równie dobrze po polsku, jak i żydowsku.

Klimat wokół Ryszarda robił się mało przyjemny, m.in. za sprawą jednego z ORMO-wców, który wręcz uparł się na niego, szantażował i nasyłał na niego różne typy, dopuszczające się pobić. Po rozmowie z życzliwym sobie kolegą zdecydował się opuścić Polskę.

- Pamiętam, jak mi powiedział: „Jedź jak najdalej, a świat przed tobą się otworzy”. Nie było to łatwe,

wszak miałem dopiero 22 lata. Wahałem się też, dokąd. Brałem pod uwagę Szwecję oraz Stany Zjednoczone. Ale gdy z moją dziewczyną znaleźliśmy się w Wiedniu, w agencji żydowskiej kusili nas do wyjazdu do Izraela. Zapewniali, że tam otrzymamy mieszkanie, będziemy mogli studiować, w ogóle szybko podnieść swoją stopę życiową. To wszystko okazało się prawdą, świat rzeczywiście nam się otworzył – przyznaje rozmówca, który rzucił się do nauki i pracy i do spłacania kredytu zaufania, odbywając służbę wojskową m.in. na froncie żydowsko-arabskiej wojny.

SZCZEBEL PO SZCZEBLU

Po dwóch latach zamieszkiwania w Izraelu Ryszard Bilan zyskał wiele, zaś stracił dziewczynę, która odeszła do orientального Żyda o śniadej skórze. Jej miejsce zajęła inna kobieta, z którą jest do tej pory. Po drodze dostał się na studia w akademii sztuk pięknych na wydziale komunikacji wizualnej. Kierował się na grafikę użytkową, bo w niej był dość dobry. To ułatwiało zdobywanie stypendiów, także międzynarodowych, dopingowało do nauki języków: hebrajski poznał w dwa miesiące, francuski – w trzy, angielskiego nadal się uczy.

– Mając wykształcenie magisterskie można było uzyskać postdoktoraty – dyplomy zagranicznych uczelni. Do wyboru miałem Niemcy i Francję. Do tych pierwszych ciągle czułem niechęć za wojnę i jej tragizm. Dostałem stypendium nad Sekwaną. Mój nad nią pobyt okazał się bardzo owocny, bo otrzymałem kolejne stypendia od Izraela na pogłębianie swojej wiedzy i dorobku w Paryżu. Stamtąd miałem zamiar pojechać do USA, ale na tym się skończyło. Za to z grafiki użytkowej wszedłem w czystą sztukę – zdradza p. Ryszard.

Z tej dziedziny było jednak trudno wyżyć, więc rozpoczął studia na politechnice. Równocześnie otworzył firmę budowlano-remontową, zarabiając sporo pieniędzy z myślą, że będzie mógł zainwestować w sztukę, w tym w rzeźbę. Tego nie można było jednak robić. Poza tym znalazł posadę technika na uczelniach technicznych, budując laboratoria elektrotechniczne.

Co prawda inżynierem nie został, bo politechnikę zostawił po drugim roku, ale umocnił się zarobkowo i twórczo. A gdy przeszedł na wczesną emeryturę, wtedy jako artysta zaczął pracować na pełnym... zegarze.

WIDZIANE Z WYSOKOŚCI

Własna pracownia znajdująca się na siódmym piętrze jednego z paryskich budynków była szczytem marzeń ekskludczanina. Kto wie, czy to dzięki niej nie nabawił się gruźlicy, bo raczej wątpi, aby w jakiś sposób była spuścizną po ojcu.

– Tam za sąsiada miałem Pana Boga. Widok wspaniały, bo okno miało ze sześć metrów kwadratowych. Ale latem było bardziej gorąco, jak w Izraelu, zaś zimą panowała zimnica. Aby się wykąpać, włączałem maszynkę gazową. Mimo tych spartańskich warunków tkwiłem, bo np. mogłem robić bardzo duże obrazy. W grafice artystycznej odnotowywałem duże sukcesy, a głównie w drzeworycie – naprawdę trudnym rzemiośle. Coraz częściej zapraszano mnie na wystawy, przyznawano nagrody – raduje się wspomnieniem artysta. – Później w mojej twórczości nastąpiła zapaść, gdyż urodziła się córka, a po niej przyszedł czas jeszcze większej kreatywności.

Od wielu lat w twórczości p. Ryszarda nie ma żadnej granicy: wyżywa się w malarstwie i rzeźbie, stale coś nowego odkrywa. Nie myśli wtedy o trzymającej się go innej chorobie, wymagającej długiej terapii. Im bardziej jest zmęczony, tym więcej pracuje i znajduje czas na podróże, choćby do swojego ukochanego Kłodzka.

– To jest wielka radość móc tu przyjechać. Tu, gdzie dorastałem i się bawiłem. Z tamtych lat mam przyjaciół i kolegów. Nie wszystkich jestem w stanie odwiedzić, mimo ich zaproszeń. Ogromnie im

dziękuję za pamięć o mnie – akcentuje Ryszard Bilan. – Co do Kłodzka, to patrzę na miasto z perspektywy czasu. Obecnie to piękne miasto. Jak w nim byłem pierwszy raz od dawna, było mi go żal – szare i popielate, cuchnące z wielu stron. Fakt, miało to pewien urok w sensie plastycznym i retrospektywnym. W tym klimacie upłynęło moje dzieciństwo i lata młodości, pierwsze upadki i wzloty, miłosne uniesienia, zmagania sportowe czy łowienie ryb w zatoce przy stadionie. Wspaniale, że nie tylko z wysokości widać korzystne tutaj zmiany.

Z ROZDARTYM SERCEM

Do miasta nad Nysą były jego mieszkańiec zawitał nie po raz pierwszy od chwili emigracji. Zjawił się, jak tylko odbyły się pierwsze debaty „okrągłego stołu”. Wcześniej organizował różne formy pomocy dla rodaków będących w potrzebie.

*– Kochałem ten kraj, mimo że pozbawiono mnie jego obywatelstwa. Do dziś pamiętam, jak w komendzie wojewódzkiej milicji położono przede mną dokument podróży – szary i paskudny – oraz ankietę o zrzeknięciu się narodowości. Nie chciałem wtedy wyjeżdżać, ale musiałem wybrać między prześladowaniami i wolnością. Choć było to niesprawiedliwe, wybrałem – rozrzewnia się p. Ryszard.
– Tym bardziej nadrabiam ten czas rozłąki.*

Dopingiem do tych wizyt jest od jakiegoś czasu przygotowywana wystawa prac artysty w Muzeum Ziemi Kłodzkiej. Niebawem pokaże w nim własną grafikę artystyczną, drzeworyt, miedzioryt, rzeźbiarstwo i malarstwo – to ostatnie w większości związane z Kłodzkiem. To będzie przekrój wszystkiego, co do tej pory zrobił. Generalnie interesuje go człowiek jako człowiek, jego głębia, odpowiedzenie na pytanie, czym my jesteśmy.

W kłodzkim muzeum R. Bilan z ekspozycją zagości po raz drugi. Poprzednio wystawiał wspólnie z prof. Zbigniewem Horbowym pod tytułem „Mistrz i uczeń”. Okazało się, że w szkole zawodowej ten dziś bardziej utytułowany artysta uczył tego drugiego rysunku, później razem pracowali, a jeszcze później p. Zbigniew, jako kierownik wzorcowni i pracownik naukowy uczelni plastycznej, miał pewne zawodowe plany względem R. Bilana. Życie rozdzieliło ich drogi, które zeszyły się ponownie w 2011 r.

– Kocham Kłodzko i ziemię kłodzką. Chętnie bym tutaj powrócił. Ale mam silne związki z Paryżem, w który na swój sposób wrosłem. To powoduje, że moje serce jest rozdarte. Póki co, krążę między nimi i tworzę także dla ich dobra – puentuje artysta.

Bogusław Bieńkowski

